



Antoni Lange

# EKSPERYMENT

**Antoni Lange**

# **Eksperyment**



**Fundacja FESTINA LENTE**

Nieraz kobieta w rozdrażnieniu woła do swego męża: „To wszystko przez ciebie! To twoja wina!” — i bardzo często jest przy tym niesprawiedliwa.

Jednakże pani Irena Klonowska miała bezwarunkowo słuszność, czyniąc Janowi najsurowsze wyrzuty w tym rodzaju.

Istotnie, mąż jej popełnił błąd nie do darowania, można by nawet powiedzieć zbrodnię, gdyż kto kiedykolwiek słyszał, aby na własnym nowo narodzonym dziecku robić niebezpieczne doświadczenia, niby *in anima vili*?

Niewątpliwie długoletnie badania naukowe, jakim się oddawał pan Jan Klonowski, wysuszyły w pewnym znaczeniu jego serce, tak, że gotów był wszystko poświęcić dla tej — jak mówiła Irena — „przeklętej nauki”.

Pan Jan zajmował się hipnotyzmem i tak pochłonięty był swoimi studiami, że po prostu człowiek, jako taki, dla niego nie istniał; gdyby stanął przed nim Platon czy Napoleon, patrzyłby on na niego przede wszystkim z tego stanowiska, czy „osobnik jest podatny” czy „niepodatny”. Jeżeli niepodatny — to dla pana Jana po prostu nie istnieje. O ile zaś podatny — proszę usiąść, spokojnie i nieruchomo siedzieć, patrzeć

w jeden punkt, w to świecące szkiełko, myśli zjednoczyć... Raz — dwa! Raz — dwa! Pan Jan robi *passy*, po czym palcami przebierając, jakby piasek sypał w oczy osobie siedzącej na fotelu, wprowadza ją w sen hipnotyczny. W takim razie nawet Platon albo Napoleon byłby mu przydatny.

Bądź co bądź, w swojej sztuce pan Jan doszedł do najwyższej doskonałości. Jednym spojrzeniem umiał wprowadzać „dobre” medium w stan głębokiej katalepsji i był wtedy panem jego myśli i woli. Właściwie jednak nie szło mu o to; raczej przeciwnie, dążył on do wyzwolenia jednostki uśpionej nie tylko od jej własnej osobowości, ale też od swojej własnej woli; chciał mianowicie dowiedzieć się przede wszystkim, czym jest dusza ludzka, wyzwolona całkowicie od materii, jak i od własnej i cudzej psychiki. Medium nie narzucał swoich myśli, swoich pragnień, swoich pytań.

Osoba uśpiona stawała się *tabula rasa*, ale pan Jan tę osobę uśpioną wprowadzał w stan energii samoczynnej i obnażywszy ją tylko ze wszystkiej przypadkowości, pozostawiał jej całą samodzielność i żądał od niej tylko: ujawnij się! Ukaż, z jakiej przybywasz płaszczyzny duchów! Bądź tym, czym jesteś!

Sumę tej wiedzy niezależnej od czasu i przestrzeni, a którą zdobył od tych dusz w katalepsji pogrążonych, pan Jan rozwinął w pewien system absolutu duchowego. Toteż jego studia były głośne w całym świecie naukowym.

Ale zagadnienie, które już od dawna najbardziej niepokoiło pana Jana, było takie: z jakich krain na ziemię przybywa dusza dziecięca? Istota bezwzględnie czysta, niesplamiona żadnym interesem, nieświadoma bezwzględnie, to znaczy wszechwiedząca — istota owa w chwili, gdy właśnie na ziemię przybywa, jestże tu czymś całkowicie nowym, bez poczucia wczoraj ani jutra, czy też przeciwnie, przynosi już na ziemię jakąś pamięć innego bytu?

Jeżeli więc świeżo narodzone dziecko wprowadzić w stan katalepsji, cóż ono nam powie? Ależ dziecko nie umie mówić! Nic to nie znaczy: życie wiony fluidycznej, stanowiącej esencję astralnego pierwiastka człowieka, jest tak nateżone, że przez wolę magnetyzera maleńkie medium w jednej chwili będzie mogło opanować mowę ludzką. Tu jest jedyny wypadek, gdzie badaczowi wolno użyć swej potęgi sugestyjnej w całej pełni i zaludnić całym bogactwem najbardziej oderwanych pojęć i słów fluidyczny mózg danego medium.

Czy jednak taki eksperyment nie zaszkodzi zdrowiu dziecka? Był to punkt, nad którym długo się zastanawiał nasz uczonec; zdecydował jednak, że ponieważ w stanie lunatyzmu można całkowicie uniezależnić duszę od ciała — i ciało od duszy, zatem żadnej szkody taki eksperyment nie uczyni organizmowi.

Trzeba dodać, że pan Jan, chociaż w ogóle wtajemniczał swoją żonę w sprawy hipnotyzmu, o tej jedynej myśli nigdy jej nie wspominał, lękając się

instynktownie, że kobieta zaprotestuje przeciw takiemu straszliwemu doświadczeniu. Zwierzył się tylko z tym jednemu z przyjaciół, lekarzowi, który dane zagadnienie traktował dość ironicznie.

— Jak sądzisz — mówił pan Jan — co za tajemnice odkryłaby nam taka świeżo zjawiona dusza, gdyby się zapytać: skąd przychodzisz?

— A nużby — odparł lekarz — dusza odpowiedziała na to zgoła cynicznie i trywialnie?

— Nie sądzę — odpowiedział na to pan Jan z najwyższą powagą. — Tylko kłopot jest taki: nie mam dziecka własnego, a o cudze do takich doświadczeń trudno.

— Jak to, chciałbyś własne dziecko...?

— A jakże inaczej?

— No to widzę, Pan Bóg dobrze zrobił nie dając ci dziecka...

Klonowscy, choć już czwarty rok byli po ślubie, nie doczekali się dotychczas potomstwa. Dopiero w piątym roku narodziło im się dziecko, chłopiec, który potem wyrósł na ładne stworzenie, ale w pierwszej chwili swego pobytu na naszej planecie wyglądał nieco poczwarnie; był czerwony jak burak, pomarszczony, o twarzy pokrzywionej żałością: słowem mało nęcący.

Matka bardzo cierpiała, wydając go na świat — i przez cztery noce bezsenne była bliska śmierci. Na koniec usłyszała krzyk nowo narodzonej istoty — i wkrótce o wszystkich cierpieniach zapomniała, uszczęśliwiona widokiem dziecka. Skoro tylko dziecko należycie obmyto i oporzędzono, skoro je nakarmiła po

raz pierwszy — w słodkim ukojeniu usnęła, rozmarzona i pełna szczęśliwości.

Spała tak pięć godzin. Nawet akuszerka znajdowała się przez ten czas w innym pokoju.

Cóż zrobił pan Jan? Nie bez wyrzutów sumienia opowiadał sam to wszystko, co zaszło od chwili, kiedy matka usnęła. Jak wyżeł, mówiąc po prostu, czyhał na tę chwilę i — nazwijmy rzecz po imieniu — ukradł własne dziecko — i okrywszy je jakimś pledem, potajemnie zaniósł do swego gabinetu, przy czym drzwi zamknął na klucz. Pokój był niezbyt obszerny, miał szyby fioletowe, osłonięte bladożółtą firanką; mebli było tu niewiele: parę foteli, stolik trójnożny, małe szafka, zawierająca jakichś trzydzieści parę tomów książek z dziedziny hipnozy oraz przedmioty rozmaite, używane przy eksperymentach. Było ledwie po południu, gdy pan Jan z drzeniem i niepokojem (bądź co bądź własne dziecko) posadził małe, czerwone, niedołęzne stworzenie na fotelu i rozpoczął swoje czarnoksiężskie praktyki.

Spojrzenie jego na małą, bezimienną i pozbawioną woli istotę podziało jak piorun; dziecko zeszywniało, usnęło i zapadło naraz w stan najgłębszej katalepsji.

Wówczas hipnotyzer rzekł:

— Słuchaj, duszo nieznana, co do ciebie mówię, a przede wszystkim witaj mi, gościu nasz, na tej ziemi — oto hołd ci składam, wielka i święta tajemnico. Czy rozumiesz mowę moją? Jeżeli jej nie rozumiesz, ześrodkuj całą swą energię i stań się istotą mówiącą...

Z nateżeniem najwyższym wolę swoją zogniskował w medium. Przyglądał się twarzy uśpionego. Nie było to już dziecko, był to raczej młodzieniec nadanielskiej piękności; było w tej twarzy coś niezemskiego; z jego oczu przeglądała taka głębia mądrości, że pan Jan zadrżał z trwogi i szacunku zarazem. Czekał z niepokojem.

Medium otworzyło naraz usta cudownie pąsowe i zaczęło wydawać jakieś dźwięki. Były to dźwięki niezrozumiałe, ale niezmiernie śpiewne, jakiś język nie znany, raczej muzyka przedziwna, kołysząca do upojenia. Jednocześnie z tą muzyką dokoła medium zaczęły błyskać światła wielobarwne, najprzód iskry, potem smugi, potem cała gama kolorów; medium spoczywało w aureoli barw, które zarazem rozlewały dokoła zapach aromatyczny; przy czym barwy nabierały powoli plastyki i zmieniały się w cudowne, złote, czerwone, lazurowe kwiaty dziwnych, niewidzianych nigdy na ziemi kształtów.

Hipnotyzer był olśniony, chociaż nic tego zjawiska nie rozumiał.

— Duchu z nieznaných sfer! Jeżeli możesz, wytłumacz mi te cuda!

Melodia cichła powoli i wydawała się coraz dalsza, zaś kwiaty barwne blakły i męlały na powietrzu; aromaty zniknęły. Na koniec wszystko umilkło i zniknęło: w gabinecie stało się, rzekłbyś, ciemno i głucho. Na fotelu leżało uśpione dziecko o twarzy młodzieńca, ale pierwotna jego piękność zniknęła; owszem, rysy medium były teraz surowe i ostre, jakby



przechodziły rodzaj męki. Pan Jan lękał się, żeby samemu z roli hipnotyzera nie przejść do stanu medium. Znajdował się wobec zjawisk tak niespodziewanych, że lada chwila — czuł — jego władza rozkazodawcza osłabnie. Więc zaczął teraz niejako sam siebie hipnotyzować, aby nie ulec przemocy tego nieznanego ducha. Opanował siebie.

— Raz jeszcze pytam ciebie: skąd jesteś i kto jesteś? Czy rozumiesz moją mowę?

— Rozumiem — odparł uśpiony nieco chropowatym, sztywnym, jakby obcym językiem — ale dopiero z wolna przeniknąłem tajemnicę tego strasznego zgrzytu i rżenia, które się u was nazywa mową ludzką. Przemawiałem do ciebie naszym językiem — powiązaniem melodii, barwy i aromatu, ale wiem, że go nie mogłeś zrozumieć. Nakazałeś mi wielki wysiłek, który mnie męczy, bo mi duszno w tym powietrzu waszej planety. Otom zniżył się do was i przemawiam waszym sposobem.

— Dzięki ci, istotnie niepojęta — i przebacz, że cię udreczyłem, ale chcę poznać tajemnicę, jaka się kryje w twoim zjawieniu. Kto jesteś i skąd przybywasz?

— Przybywam z tej krainy, gdzie i ty jesteś — z nieskończoności, bo i ty, choć w innym punkcie — w nieskończoności przebywasz.

— Ale... z jakiego punktu nieskończoności?

— Jestem z dalekich niebios, z tej sfery, po której krąży sześćset sześćdziesiąt sześć drobnych planet — jedynych planet rzeczywiście zamieszkałych przez ludzi.

— Jak to jedynych? A Mars, Merkury, Wenus, a nasza Ziemia?

— Ziemia? To, co wy nazywacie Ziemią — my nazywamy Piekłem i tu za nasze grzechy bywamy strącani, a staje się to w formie narodzin ziemskich. Niejeden z tych tworów dwunożnych a bezskrzydłych, które wy nazywacie ludźmi, jest wygnańcem z Raju. Takim wygnańcem jestem ja!

— Jak to z Raju?

— Ze sfery naszych planet. One to stanowią ów Raj utracony, o którym mówią wasze księgi święte. Wiem o tym od istot, które po śmierci na waszej Ziemi do nas przybywały. Ja mieszkałem dotychczas na gwiazdzie Cerery, ale za grzechy moje zostałem tu do was, do Piekła, zesłany... Tak właśnie z naszych Edenów na Ziemię został wygnany Adam i odtąd już na wieki pozostało tu jego potomstwo.

— Duchu przedziwny! Skąd masz tyle wiadomości o Ziemi? Dlaczego nazywasz ją Piekłem? Jakie grzechy popełniłeś? Jaki jest wasz Raj? Jak wy tam żyjecie? Czy macie stosunki z innymi planetami waszej sfery?

Tysiące pytań jeszcze miał na języku hipnotyzer, ale w czas się spostrzegł, że postępuje wbrew metodzie własnej; jednakże sytuacja była tak wyjątkowa (i niebezpieczna dla pana Jana, gdyż nieustannie przypominał sobie o żonie, akuszerce i dziecku!), że mimo woli chciał w jednym słowie zawrzeć jak najwięcej myśli.

— O, za wiele zgrzytu naraz! Za wiele twego szczęku i jęku! Jeżeli nie możesz śpiewać melodyjnie — to powoli skanduj sylaby.

— Wybacz, sam o tym pomyślałem. Nie gniewaj się na mnie. Skąd wiesz tyle o Ziemi?

— Wiele, wiele przybywa do nas dusz, które były u was — tak jak na ziemi są ludzie, co bywali na naszych planetach. Ale kto na Ziemię spływa, ten nie pamięta przeszłości, chyba w pierwszym momencie żywota, kiedy jego dusza tylko przez pół jest na Ziemi; przeciwnie — u nas każdy duch wszystkie swoje dawne wcielenia pamięta. Pobyt na Ziemi — to dla nich niby sen przykry, deszcz i szaruga wieczna, nieustanna męcząca walka o byt — i krótkie sekundy wytchnienia. Na Ziemi człowiek skazany jest na grzech, drapieżność i męczarnię. Od tych duchów wiemy wszystko o Ziemi; owszem, dzięki naszej umiejętności sięgania do treści rzeczy, wiemy nawet więcej. Wy jesteście w stanie widzieć tylko pewien drobny zakres rzeczy i warunków, my w każdej chwili, jeżeli trzeba, dostrzegamy cały wszechświat. My krążymy po środkowym kole systemu planetarnego; nie jesteśmy ani tak ciężko z materii zbudowani, jak mieszkańcy Ziemi albo Marsa, ani tak odśrodkowo–gazowi, jak ludzie z Jowisza, Urana, Neptuna. My właśnie sami w sobie przewyciężyliśmy materię i stanęliśmy nad nią. Na ziemi dusza jest w więzieniu ciała; u nas ciało jest pod władzą bezwzględną duszy. Dlatego to, co wy na Ziemi nazywacie zmysłami, czyli zacieśnienie mocy wrażliwości, u nas właśnie jest wyzwolone. Widzimy i

słyszemy daleko więcej i dalej niż wy, a nasze nerwy zastępują wszystkie wasze przyrządy elektryczne...

— Mów jeszcze, mów jeszcze! Jakie to są wasze światy? Czy planety wasze komunikują się ze sobą?

— Nasze światy to wielka liczba drobnych planet, trzy i cztery razy mniejszych od Ziemi, ale mieszkańcy ich znajdują się w ciągłym związku ze sobą czy to osobiście, czy przez telepatię. Jeżeli wolę mamy po temu, oblatujemy bezmiary, bo nasza organizacja jest taka, że możemy istnieć bez atmosfery, a nawet bez pożywienia. Jeżeli więc między jedną planetą a drugą powietrze jest bardzo rozrzedzone — przebywamy je bez trudności.

— Na skrzydłach czy na maszynach?

— Bynajmniej. Wola własna służy nam za skrzydła.

— Znasz i inne planety?

— Znam Palladę, Junonę, Westę, Amfitrytę, Penelopę, Helenę i wiele innych, nieznanych przez was.

— Ile masz lat?

— Nie wiem, jestem nieśmiertelny — albo, ściślej mówiąc, żyję na naszych planetach dwadzieścia ziemskich stuleci. Nie dziw się, że posiadam tyle wiedzy. Nasze istnienie to wieczne poznawanie, to jedyna funkcja naszego bytu.

— Ależ Adam...

— Są u nas rzeczy niepoznawalne — rzeczy zakazane. Ludzie z Ziemi opowiadali mi o miłości waszej cielesnej, a niektórzy mieli o niej tak słodkie wspomnienia, że wielce żałowali utraconego Piekła. Te

właśnie opowieści o słodyczach miłości rozbudziły we mnie pożądania osobliwe, pod których mocą ciało zaczęło we mnie przeważać nad duchem. Za ten grzech ciekawości zostałem z Raju wygnany, aby poznać tajemnicę cielesności.

— A jakże wy się rodzicie? Jak umieracie? Czym żyjecie?

— Rodzimy się w ten sposób, że każda dusza, czy to nasza własna, czy z innych przybywająca planet, wybiera sobie ten lub ów kwiat — a u nas kwitną precudowne i bardzo inteligentne kwiaty — i w jego aromatach się pomieszcza. W kielichu tego kwiatu przybiera kształt, mniej więcej podobny do formy ziemskiego człowieka, ale raczej wyanielony i doskonalszy. Rzekłbyś, jest to metamorfoza kwiatu w postać ludzką. Zdaje mi się, że pochodzenie od kwiatów głównie odróżnia nas od was, bo wy pochodzicie od zwierząt. W takiej postaci żyjemy długie stulecia i — można rzec — jesteśmy nieśmiertelni. Nie odczuwamy nigdy tej konieczności, która się u was nazywa głodem. Żywimy się powietrzem, echem, promieniami słońca. Dlatego nie ma u nas walki o byt, nie ma tej okropnej tragedii starć, wojen, zabójstw, nędzy; nie ma u nas walki, przeciwieństw, załamania. Istotą naszej planety i naszej psychiki jest powszechna jedność. Mamy wszyscy jedną, barwną, melodyjną, pachnącą mowę. Mamy jednego Boga, z którym obcujemy nieustannie, choć pełni jego tajemnicy nigdy — wiemy o tym — nie będziemy w możności ogarnąć.

— Jakież to Bóg? Mów mi o Bogu, duchu czysty!  
— ze drzeniem pytał badacz, rozmodlony już niemal wobec swego medium.

— O tym mówić nie mogę. Wy, synowie Ziemi, żyjecie w sprzecznościach. Nasz Bóg — jest poza wszelką sprzecznością — jest utożsamieniem wszystkich przeciwieństw, jest absolutem. Nie zrozumiesz mojej mowy, zwłaszcza jeżeli w waszym ludzkim języku mam mówić. Boga można wypowiedzieć tylko w języku nadludzkim.

— A więc mi powiedz, jak umieracie? Bo jeżeliś zstąpił na Ziemię, to musiałeś umrzeć na swojej planecie.

— Umarłem. Ten, który ma umrzeć, zwołuje przyjaciół na ostatnią biesiadę i wśród rozmowy o rzeczach nieskończonych odczuwa naraz niepojętą słodycz. Istność jego, rzekłbyś, w mrok przedziwny pełen światła słonecznego przechodzi. W żarze tego stanu umierający, niby w sennej półświadomości, rozpływa się w mgłę, maleje do rozmiarów niewidzialnych i, jak na przykład ja, znajduje się naraz w otoczeniu nowym, w kolisku ciemnym, gdzie powoli dochodzi do niewyraźnej świadomości swego nowego bytu. Na koniec zjawiłem się Ziemi jako istota żywa, w życiu normalnym bezwiedna i pozbawiona pamięci o życiu poprzednim. Moment rozproszenia mego ciała Cererowego był to właśnie moment mego poczęcia na Ziemi. Czasami w łonie błyskała mi myśl, że za karę jestem skazany na to więzienie, ale były to chwile tylko; w istocie byłem jakimś ślimakiem czy kijanką, która

żyje tylko, by się odżywiać. Dla mnie te narodziny ziemskie — to upadek. Słusznie też byłem ukarany za swój grzech ciekawości. Dziś — przed godziną — skoro tylko znalazłem się na Ziemi, zrozumiałem w jednym momencie całą grozę waszego piekła — i krzyknąłem z wielkiej rozpaczyny po utraconym raj, ale natychmiast zapomniałem o wszystkim.

— A jakże u was przejawia się miłość? Czy są u was mężczyźni i kobiety — czy wy jesteście androginy?

— Owszem, płeć u nas bywa dwoista, ale u nas przeważa związek dusz nad związkiem ciał. Połączenie harmonijne dwojga barw, dwojga zapachów, dwojga melodii naszych istot daje pocałunek dusz, tak ogarniający naszą istotę, że nasza jaźń się podwaja. Częstka tych elementów oddziela się od nas i szuka swojego kwiatu. Muszę dodać, że takie pocałunki dusz mogą tylko w takim razie się urzeczywistnić, jeżeli istnieje realne powinowactwo, symfonia barw, zapachów i melodii. Bez symfonii związek jest niemożliwy. Toteż u nas każdy długo, długo szuka swego uzupełnienia, aż na koniec przy wielkim napięciu woli na pewno odnajdzie tę bratnią duszę. Tak płynie u nas życie w słońcu i wiośnie...

— Jakież są pory roku?

— Wiekuista wiosna panuje u nas. My nie znamy śniegów ani burzy, ani potopów. Nie nosimy ubrania, nie budujemy domów, nie znamy własności ani bogactwa, ani nędzy. Życie nasze to myśl, kontemplacja, marzenie. Co dzień opowiadamy sobie nasze sny i widzenia, a twórczość swoją realizuje każdy

z nas w samym sobie. Ciało nasze, jak ci już mówiłem, jest jakby silna bateria elektryczna. Wszystkie wasze wynalazki u nas są jakby naturalnie nam dane — w nerwach. Dlatego możemy rozmawiać na odległość; oczy nasze są jak teleskopy. Śmierć u nas to właściwie rozproszenie elektryczności wewnętrznej, a to rozproszenie — to najczęściej wynik grzechu.

Coraz nowa fala pytań budziła się w myśli pana Jana. Już go chciał zapytać, jaki tam ustrój społeczny, jaki rząd, jaki parlament, jakie stronnictwa polityczne, jak tam stoi kwestia żydowska, gdy naraz doszły go straszne krzyki z sąsiednich pokojów.

Pan Jan poczuł się nagle jak zbrodniarz schwytyany na gorącym uczynku. Lęk ogarnął go straszny i jednocześnie poczuł nadzwyczajne osłabienie swojej siły hipnotyzerskiej. Był niespokojny, zdenerwowany, wytracony z równowagi. W tej samej chwili medium zaczęło na nowo bełkotać swoim językiem, lecz melodia była groźna jak burza, a barwy dokoła medium krążyły ciemne, czarne, purpurowe. Twarz medium dziwnie się zmieniła. Była to bolesna, pomarszczona twarz starca, a muzyka jego mowy zmieniła się z burzliwego pomruku w jęk bolesny, a potem w zwyczajny płacz małego dziecka.

Zapukano do drzwi.

— Panie, panie!

Pan Jan oprzytomniał. Spojrzał na zegarek, była blisko piąta. Opanował nerwy, instynktowo wyteżył wzrok i przeprowadziwszy *passy* — obudził medium.



Konwulsyjny płacz niemowlęcia dał się słyszeć w pokoju. Pan Jan otworzył drzwi. Stała w nich akuszerka.

— Co też pan wyrabia, na miłość boską! Także pan się politycznie zachowuje. Upoważniam pana, że pani mało co spazmów nie dostała. Zabiera pan dziecko, a pan się tyle na tym zna, co kura na pieprzu. Już to szkoda, że pan gdzie nie pojechał we światy. Przed rodzonym ojcem trzeba pilnować dziecka. Biedne maleństwo. Nic nie jadło, a tu matce wzbiera. Jeszcze gorączki dostanie. Też z panem chryja taka!

Pan Jan pokornie słuchał baby i oddał dziecko, które — jak się okazało — było mocno przeziębione i chorowało blisko trzy miesiące, w ciągłym niebezpieczeństwie między życiem a śmiercią.

Na koniec jednak zdrowy organizm — jak mówił doktor — zwyciężył.

Mimo woli pan Jan zdradził się kiedyś przed żoną, jakie to doświadczenie zrobił z synem i jakie zyskał od niego rewelacje.

Pani Irena — osoba nadzwyczaj łagodna — wybuchła gniewem i przemówiła do swego męża słowami, jakich on zapewne nigdy nie słyszał dotychczas. Pan Jan niby to uznawał słuszność pretensji żoninych, ale z drugiej strony tak odsłonić tajemnicę bytu, jak to jemu się udało, chyba nikt dotychczas nie uczynił.

— O mało mi dziecka nie zabił! — mówiła pani Irena przez lat dwadzieścia w różnych okazjach.

Istotnie, dziecko było wątłe, słabowite, chorowite i wymagało nieustannej pieczy i uwagi, co nie bez

słuszności matka przypisywała niebezpiecznemu doświadczeniu, jakie z biednym Józiem uczynił ojciec.

Pan Jan jednakże był bardzo dumny ze swojego doświadczenia i długi czas jego sprawozdanie miało wielki rozgłos w europejskim świecie uczonym. Jednakże niejaki dr Wagner z Lipska wykazał, że te wszystkie rzekome rewelacje nowo narodzonego znajdują się w książce pewnego mistyka z wieku XII, nazwiskiem Angelo Mandragora de Catacumba, pod tytułem *Misteria coelestia*. Dzieło to pan Jan istotnie znał i czytał w młodości. Owóż w doświadczeniu z Józiem pan Jan zapomniał o swojej zwykłej metodzie i zamiast nakazać uśpionemu: „mów, co wiesz!” — sam mu dawał zapytania i sam pewnie odpowiedzi mu podsuwał; czynił to nieświadomie, gdyż rzecz pewna, że treść książki bezwzględnie zapomniał. Ale znowu z drugiej strony faktem jest, że Józio z nim mówił i to naprzód jakimś nadziemskim językiem, a potem dopiero ludzkim... A może i to było złudzenie... Może właściwie to on sam, pan Jan — był zahipnotyzowany.

Wątpliwości go dręczyły. Rozwój Józia ojciec pilnie śledził, przypuszczając, że będzie to jakiś wyjątkowy geniusz. Okazało się jednak, że był to chłopiec przeciętny, mało ciekawy do nauki, dość apatyczny, ale natomiast bardzo kochliwy. Wcześniej rozwinął się w nim zmysł erotyczny, ale niestety, Józio w tym kierunku doznał samych zawodów i rozczarowań, i jeżeli powróci na swoją planetę — to już pewno nie będzie ciekawy miłości ziemskiej.

Antoni Lange  
*Eksperyment*

Redakcja: *Anna Oldak, Hanna Milewska*

Projekt okładki:  
*STUDIO OŻYWIANIA KSIĄŻKI KARTALIA*

Copyright © for the e-book edition  
by FUNDACJA FESTINALENTE 2013

Warszawa 2013

ISBN 978-83-7904-277-7

Fundacja Festina Lente  
ul. Nowoursynowska 160B/7  
02-776 Warszawa



FUNDACJA  
FESTINALENTE

[www.festina-lente.org.pl](http://www.festina-lente.org.pl)



[www.chmuraczytania.pl](http://www.chmuraczytania.pl)



[www.eLib.pl](http://www.eLib.pl)